

Art. 149 KK

Joanna Jodełka

Budziła się powoli, bardzo powoli, z trudem. Powieki jakby nie chciały się ze sobą rozstać, tańcząc swój taniec, od siebie do siebie. W końcu dały oczom popatrzeć. Na odrapane okiennice, na odklejającą się tapetę, na grzyb, który był tego sprawcą i wlaził na sufit już bez przeszkód.

Była u siebie. A to wszystko to koszmarny sen, tylko sen. Nie ucieka na czworakach jak zwierzę, nie wyje jak zwierzę, nie lka jak człowiek. To tylko sen.

Była u siebie.

Oddychała spokojnie. Nawet ten grzyb, który jeszcze wczoraj był obrzydliwym pajakiem krzyżakiem, rozwijającym swą obrzydliwą, coraz to większą pajęczynę, teraz zdawał się bujnym, egzotycznym kwiatem. Dlaczego tak się jej to zdarzyło?

Bo była u siebie?

Uśmiechnęła się lekko, niewyraźnie – bo to tylko ten sen, nieważne, że nie może go sobie przypomnieć, to bez znaczenia, wszystko już dobrze, wszystko będzie dobrze.

Jeszcze tylko dwa tygodnie, może trzy i wszystko się zmieni, poradzi sobie, musi sobie poradzić.

Zaczęła wstawać powoli, bardzo powoli, ociężała. Jeszcze bez zdziwienia. Ostatnio puchły jej stopy, czuła się źle, ale może tak właśnie powinno być.

Usiadła na łóżku, okrywając się kocem trzymanym w obu rękach, wysoko, pod szyją. Zawsze tak robiła. Od dziecka budził ją chłód w każdej znanej postaci.

Podkuliła nogi, już wtedy powinna była się zorientować. Miała mały brzuch, niewiele przytyła, prawie nic, zaledwie kilka osób w ogóle zauważyło. Ale nie zorientowała się. Jeszcze nie w tym momencie. Skupiła się na dźwiganiu swojej głowy, uparcie kiwającej się na wszystkie strony. Puściła koc, położyła ręce na twarzy, zamknęła oczy, trochę pomogło. Ociężała głowa powoli przestawała ciążyć. Puściła ją. Koc zsunął się już wcześniej.

I wtedy zobaczyła. Najpierw mankiety. Mankiety białej bluzki, przesyte czarną nitką w zygzakowaty wzorek. Mankiety najlepszej bluzki, jaką miała.

Dlaczego w niej spała?!

Dlaczego te mankiety były ubłocone!?

Powieki schowały się ze strachu, zostały tylko wielkie, przerażone oczy, otwarte na oścież – nie miały dokąd uciec.

Całe jej ciało zaczęło się odchylać, uciekać pod ścianę, w kąt – przed czymś, czego nie było, przed kimś, kogo nie było, przed czymś złym, co się stało, co musiało się stać.

Zamknęła się, skuliła, objęła dłońmi brzuch, chroniąc go, delikatnie z czułością, którą niedawno odnalazła. Po chwili palce zaczęły błędzić, najpierw powoli, nie mogąc znaleźć twardej, gładzonej, wygładzanej ruchomej powierzchni.

Potem szybko zaczęły zatapiać się w galaretowatej, przelewającej się pustej powierzchni.

Bez oporu!

W pustce!

Głębiej i głębiej!

Usta otworzyły się, nie wypuszczając z siebie jeszcze żadnego dźwięku.

Oczy i ręce szukały czegoś, czego nie było.

Zerwała się. Zaczęła się kręcić, odganiać, dotykać jak kęsana przez niewidzialną watahę dzikich zwierząt.

Wbijając pięści w pusty brzuch.

Ktoś zabrał jej dziecko. Z jej wnętrza.

Bo tam go nie było.

W końcu zaczęła krzyczeć, wyc, skowyczeć – jednocześnie.

Za duże spodnie opadły do kolan.

Ubłocone, pokrwawione.

Ci, którzy usłyszeli ten nieludzki krzyk, nigdy już go nie zapomnieli. Nie przyznawali się do tego, ale on wracał do nich, czasami w nocy, czasami rano, czasami nie wiadomo kiedy, strosząc włosy, wbijając się w mózg, w zęby.

(Otwierając drzwi do przerażenia, do lęku, już na zawsze uchylone.)

Bogumiła Wagner wstała z łóżka. Nawet nie pamiętała momentu, w którym się obudziła. Wstała i już. Więcej, była pewna, że prawą nogą, bo jakoś tak lekko i z życiem. I to wystarczyło, by wprawić ją w dobry humor, który miewała równie często jak zły, bez wyraźnej przyczyny, na przemian, mniej lub bardziej regularnie. I nie miało to nic wspólnego z porą roku za oknem czy w kalendarzu, z cyklem księżycy czy jej prywatnym, krwawiącym sercem lub z czymkolwiek innym. Była dobra melodia na życie bądź nie.

Tego dnia była i zapowiadał się dobry dzień (a nie był).

Podniosła żaluzje w oknie. Za oknem czekał kot i padał deszcz.

– Idealnie. – Uśmiechnęła się do siebie.

Wpuściła Pomyłkę i popatrzyła w niebo. Nie musiała zbyt wysoko zadzierać głowy, właściwie zaczynało się na wysokości jej oczu, a to za sprawą deszczu, mgły i wiatru, który kręcił tym we wszystkich kierunkach, mieszając z upodobaniem mokrą szarością. Fasady szeregowych domów w Dąbrówce za Poznaniem z natury miały być białoszare, zapewne po to, by dopasować się do obowiązującej przez większość roku kolorystyki. Bogumiła i tak ze zdziwieniem patrzyła przez okno na drewniane elementy elewacji i płotu, niby przyjazne, rude, a też tego dnia jakoś mdle i chłodne, jakby i ten ciepły kolor przegrał w walce z zimnem i postanowił już niczego nie ocieplać.

– Idealnie – powtórzyła i spojrzała na kotkę, łaszącą się do jej nogi. – No i nie zdążyłam jej wysterylizować. Będą małe, oj, będą. Trudno. Poszła w kierunku łódówki, a kotka przymilnie ocierała się, kręcąc ósemki między jej nogami.

– Przestał ci się podobać ten paskud z sąsiedztwa? – pytała już jedzącą i nie zwracającą na nic uwagi Pomyłkę. – Teraz, po fakcie? Teraz to ty masz inne zmartwienie. Jesz za dwóch, za trzech czy za czterech? Do mnie wróciłaś czy do tej miski? Kotka spojrzała na nią, Bogumiłę rozbawiło to spojrzenie.

– Masz rację, lepiej nie zadawać takich pytań, zresztą pasujesz do dnia.

Plan był jasny – książka, koc, herbata, ptasie mleczko, to wszystko w różnych proporcjach. Deszcz za oknem dla dekoracji i jako akompaniament. Tak od rana do wieczora. Sama ze sobą i sama dla siebie. Idealnie.

Tylko wyłączyć telefon.

Nie zdążyła.

Zadzwoił z samego rana w niedzielę.

Nie wyłączyła wibracji i patrzyła teraz jak dzwoni i wibruje po stole, jakby tańczył taniec świętego Wita. Zastanawiała się, czy nie pozwolić mu spaść, żeby już tak się nie męczył.

Piła wodę, bo chciało jej się pić, i tak patrzyła. Dzwonił natrętnie. Nie mogła podejrzeć, kto dzwoni, po tym jak wpadł do konewki, ale te drgania jakoś przywoływały skojarzenia z jej byłym, po alkoholu w łóżku.

– Jeżeli dzwoni, żeby poużalać się nad sobą, po kolejnej sobocie z jakąś panną, której uroda tylko głupocie dorównuje, to pięterko ptasiego mleczka nie starczy na odżałowanie tego, że odebrałam ten telefon. – Patrzyła i myślała tak wystarczająco długo, by przestał dzwonić.

– Oj. Nie zdążyłam, jaka szkoda – powiedziała do kota i podeszła do czajnika. Wylała wczorajszą wodę z szacunku do herbaty, podobno tegorocznej, i nie zdążyła go włączyć.

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem nie potańczył, spadł z hukiem na podłogę, centymetr od kotki, która odskoczyła na metr, prężąc się do walki z dziwnym intruzem.

– Nie denerwuj się, kociętom szkodzi, już odbiorę.

- Słucham. – Wbrew nastrojowi to „słucham” było nadęte, zniecierpliwione i niemiłe, i takie miało być. Zaadresowane wszystko jedno do kogo.
- Pani Bogumiła Wegner?
- Tak.
- Musi nam pani pomóc...
- Nie. Nie muszę. – Nie wiedziała, z kim rozmawia, ale domyśliła się, że nie jest to nikt kogo lubi. Źle reagowała na tych, co nie działają w pojedynkę, zastaniając się potrzebą i grupą wyższej potrzeby.
- Wiemy...
- Przede wszystkim: z kim rozmawiam?
- Z policją. Sprawa jest bardzo pilna, liczy się każda minuta.
- To niech pan dzwoni do straży pożarnej, a nie do psychologa. Jeśli skacze, to rozwińcie poduszkę. Negocjatorem już jestem. A i rozwińcie też książkę adresową na pulpicie waszego komputera, tam jest taki mały przycisk i mnie już tam nie ma.
- Nie ma również pani koleżanek, jedna na szkoleniu, druga nieprzytomna. Mówić dalej?! Mamy dzieciobójczynię bez dziecka, i tego dziecka szukamy! Mam dzwonić po straż pożarną? To nie kot! Na pobliskich drzewach go nie ma!
- Gdzie mam być?
- W remizie! Na policji oczywiście! Wie pani przecież, skąd dzwonię!
- Tak... wiem... nie wiem... a nie, już wiem, dwadzieścia minut.
- Czekam.
- Dlaczego nie czekamy, myć się, nie myć?
- Pomyłka, spadaj... powiedziała do kotki, która też nie wiadomo co od niej chciała.

Do koncepcji z kocem dzień był idealny, ale tylko do tej. Innej na ten dzień nie przewidywała. Jak zwykle, gdy ktoś lub coś kazało jej się spieszyć, nie mogła się skupić.

Zacząła bezsensownie kręcić się po swoim mieszkaniu, z każdą chwilą potęgując liczbę wykonywanych zakrętów. Z garderoby do sypialni, z sypialni do garderoby, by skompletować skarpety. Od wieszaka w przedpokoju do wieszaka na piętrze, wymieniając przed chwilą dobrany szalik do źle dobranego swetra, który też trzeba było zmienić, bo dopiero na dole w wielkim lustrze ostrzegł swą czerwienią, że może i jest pozytywnie pobudzający, ale niezbyt adekwatny do spodziewanej sytuacji. I to wszystko niby szybko, a jakby w zwolnionym tempie. Cukierki z kofeiną nie zadziałały na uśpioną podświadomość, kawy nie piła od lata, kiedy to prawie połknęła dwie niewidocznie utopione w niej muchy. Próby wykrzesania z siebie jakiejś własnej energii spełzły na niczym, próby zaczerpnięcia jej z jakiegokolwiek innego naturalnego źródła zdawały się z góry skazane na niepowodzenie.

Listopadowa, deszczowa niedziela nadawała się tylko do tego, by zostać po wewnętrznej stronie okna.

Spojrzała na kota, który w swej mądrości nie zamierzał nigdzie wychodzić, układając się wygodnie na poduszce koło kominka. Pozazdrościła i kotu, i poduszce. Zatrzasnęła drzwi, by po chwili otworzyć je z powrotem, gdy zobaczyła, że padało coraz mocniej, więc bez parasola nie dało się ruszyć.

Opluła tę pogodę, gdyby tylko ta to zauważyła.

Jeszcze parę dni temu z przyjemnością zgarniała ze swego fioletowego garbusa setki zalanych żółcią i czerwonych z wściekłości na jesień liści. Czasami oglądała niektóre z nich dłużej, dzisiaj tylko wyciągnęła zgniłe śmieci zza wycieraczek, z obrzydzeniem otrzepując ręce. Wnętrze samochodu też było wilgotne i na wskroś nieprzyjemne.

Nawet różowe pokrowce na siedzeniach nie bawiły kolorem, jak to im się czasami udawało. Nie udało się to też sąsiadowi, który pakując dziecięce foteliki do samochodu, krzyknął:

– Witaj, piękna Hiszpanko!

Kiwnęła do niego głową, nie chciało się jej odpowiadać, może dlatego, że „piękna” dodawał tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu jego żony. Zresztą przeglądając się w samochodowym lusterku, zaczęła się zastanawiać, czy nie była to nawet jakaś kpina. Czarne włosy jak zwykle udało się gładko przyczesać, gorzej było z ustami, na których czerwień nie rozłożyła się zbyt symetrycznie. Poprawiła palcem, pozagryzała wargi i przestała już spoglądać w lusterko, w końcu nie do tego służyło.

Przeszył ją dreszcz, gdy dotknęła zimnej kierownicy, drugi przyszedł po chwili, gdy ruszyła, gdy myśli zaczęły płynąć już we właściwym kierunku.

Dzieciobójczyni!

Nie miała ochoty na żadne uduszone, odstawione, porzucone niemowlęta – ani tego dnia, ani żadnego innego. Na koszmar w stylu pięciorga dzieci zamrożonych pomiędzy bruksełkami w zamrażarce czy kiszonych w beczkach po kapuście nie miała siły.

Na domiar złego myśli, które przetaczały się przez jej głowę, sprawiły, że – albo bezwiednie, albo wiedzioną koszmarnym instynktem – chcąc dojechać do ulicy Grunwaldzkiej, skręciła w Owczą i za chwilę z lasu wyłonił się cmentarz. Owczą bez żadnego ostrzeżenia, mając uroczymi zakrętami, prawie dzikimi łąkami zmieniała się w las przy ulicy Cmentarnej. Szyszki rosnących tam spokojnie ogromnych sosen rzadko miały okazję spaść na ziemię, znacznie częściej obijały się o granitowe płyty gęsto poutykanych grobowców. Nie skracała sobie tak drogi już od bardzo dawna, choćby nie wiadomo jakie korki były. Teraz odwróciła głowę na tyle, na ile się dało, ale i tak nie mogła nie widzieć płomyków zniczy pozamykanych w plastikowe osłonki, by na przekór deszczowemu wiatrowi wesoło sobie mrugały. Nie było jej na tym cmentarzu, gdy chowano jej narodzone na chwilę dziecko. Na Wszystkich Świętych też nie. Tamtego dnia zamknęła się w domu razem z winem i dwudziestoma wypożyczonymi na tę okazję komediami, nawet nie odważyła się włączyć telewizora. Jako tako podziałało.

Uspokoila się, dopiero wjeżdżając na szeroką, dwupasmową ulicę Grunwaldzką. Nic to. Tylko stwierdzi poczytalność lub jej brak, chwilową oczywiście, bo tylko chwilę tam będzie, i dalej już niech ktoś inny się tym zajmuje.

Tak planując, dojechała na ulicę Rycerską. Nie była już tam od ponad roku, ale policjant rezydujący w recepcji musiał ją pamiętać, bo bez zbędnych ceregieli zapisał jej dane, wręczył przepustkę i podał numer pokoju – 36. Znała drogę i znała ten pokój. Korytarz trochę wyładniał za sprawą jasnego, odmłodzonego koloru, ale drzwi już nie, nie załapały się na tę kurację. Zapukała w nie i uchyliła, naturalnie spodziewając się tam jakiegoś oficera czy kogokolwiek, kto do niej dzwonił. Naturalnie źle zrobiła.

W pokoju nie było nikogo. Nikogo oprócz czegoś opatulonego w bury koc, kiwającego się na krześle – jak osieroczone wahadło jakiegoś szalonego zegara, który gdzieś uciekł – w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Na chwilę to coś odwróciło głowę w jej kierunku. Zobaczyła tylko wielkie, przerażająco wielkie oczy.

Zamknęła drzwi.

Zamknęła też oczy, ale one i tak widziały te oczy.

Stała tak przez moment oparta o futrynę, nie wiedząc co myśleć.

– Pani Bogumiła Wagner?

– Tak.

Z chwilowego odrętwienia wyrwał ją chudy, blady facet, który ni stąd, ni zowąd wyrósł przed nią. Miał podkrążone oczy.

– To ja dzwoniłem do pani. Widziałem panią tu parę razy, ale nie mieliśmy okazji się poznać. – Uśmiechnął się lekko, wyciągając rękę w jej kierunku.

– Toteż trudno to nazwać okazją. O co tu chodzi? I kto to jest? – ucięła krótko.

– Przyjemność nie leży dzisiaj po mojej stronie – odpowiedział, chowając rękę. Patrzyła na niego i miała wrażenie, że zrobił się jeszcze bledszy. Wiedziała też, że jeszcze jedno zdanie i wyprowadzi go z równowagi, do której on już nie wróci, a wtedy ona pójdzie i będzie mieć święty spokój. Ale nie zrobiła tego. Bo może nie powinna?

– Słucham.

– Parę godzin temu ludzie wynajmujący jej pokój, to znaczy Iwone Skomorowskiej, usłyszeli krzyk, podobno przerażający, myśleli nawet, że zwariowała, zadzwonili po pogotowie. Pogotowie zadzwoniło po nas. Nie możemy się z nią porozumieć. Nie wiemy, co się stało, ale musimy założyć, że coś niedobrego.

– Wiadomo, że urodziła?

– Tak. Odwieziono ją na Polną. Lekarz też tak stwierdził. Miał niewiele czasu i był mniej więcej tak uprzejmy jak pani. – Spojrzał na nią, nawet nie drgnęła, mówił dalej: – Bo podobno pogoda taka, że z domu nie chce się wychodzić, ale na świat, a i owszem, i nie wydawał się tym faktem zadowolony. Musieliśmy ją stamtąd zabrać, źle reagowała na to miejsce, jakieś niemowlaki płakały, ona chciała biec... Jednym słowem, było to straszne, nawet dla kogoś takiego jak ja.

– Ale kiedy urodziła?

– Podobno dwa, może trzy dni temu. Lekarz stwierdził, że wszystko jest w porządku, goi się. To wszystko, co miał do powiedzenia.

– A co ona mówi?

– Cały czas to samo, że ktoś ukradł jej dziecko i że nic nie pamięta.

– A czy jest pod wpływem jakichś środków?

– Teraz to pod wpływem jakichś silnych leków uspokajających, proste testy narkotykowe nic nie wykazały, a na dokładniejszą analizę trzeba będzie poczekać. Proszę pani, mamy kilka hipotez. Optymistyczną, że zostawiła to dziecko w jakimś szpitalu – ale nie w Poznaniu, bo to sprawdziliśmy, resztę sprawdzamy. Mniej optymistyczną, że sprzedała je komuś, tego może się dowiemy, ale najgroźniejsze i mimo wszystko najbardziej prawdopodobne jest to, że mogła to dziecko zabić albo porzucić. Co na jedno wychodzi, bo jeżeli żyje, to mamy niewiele czasu na utrzymanie tego stanu. Może rzeczywiście nie pamięta, co się stało, a może udaje, wcześniej czy później to się okaże, ale wezwaliśmy panią po to, by okazało się to wcześniej.

– A co ona pamięta?

– Pamięta środę wieczorem. Podobno wtedy wszystko było dobrze.

– Zdaje pan sobie sprawę, że ona jest teraz kompletnie otumaniona, i nawet jak coś powie, to nie ma gwarancji, że nie zmyśla?

– Wiem, i wiem też, że ci z pogotowia mieli rację, że jej coś podali, ja ją widziałem. I będę widział jeszcze długo.

– Coś o niej wiecie?

– Nie, nie była notowana, jeśli dobrze się przedstawiła.

– Przeszukaliście cały dom, w którym mieszkała?

– Proszę pani, umówmy się, że ja nie będę kwestionował pani kompetencji, a pani moich.

– No dobrze, wchodzimy – odpowiedziała już łagodniejszym tonem.

Policjant otworzył drzwi. Bogumiła Wagner myślała, że wystarczająco jak na jeden dzień przstraszył ją widok sprzed chwili. Myliła się.

Dziewczyna nie siedziała już na krześle, upiornie się kołysząc, ale leżała na ziemi.

Trzęsąc się, przeraźliwie się trzęsąc.

Prawie stratowali się w drzwiach.

Podbiegła pierwsza. Dotknęła głowy dziewczyny.

– Boże, ona ma ze czterdzieści stopni gorączki! Niech pan dzwoni po pogotowie!